

# DOPADŁ MNIE LOS. ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM

Michał Łuczewski i Jakub Motrenko

Michał Łuczewski: *Fenomenologia czy marksizm? Max czy Jarosław? Brema czy Bruksela? Mickiewicz czy Michnik? Krótko mówiąc: nauka czy polityka?*

Zdzisław Krasnodębski: Przed 1989 rokiem znaczna część socjologów była zaangażowana politycznie: profesor Wiatr (który chciał mnie usunąć z Instytutu), profesor Wojnar-Sujecka (miałem u niej egzamin z historii ruchu robotniczego), profesor Wesołowski (mój promotor i szef, o którym zawsze myślę z dużą wdzięcznością), doktor Jasińska (była przez pewien czas sekretarzem podstawowej organizacji PZPR w Instytucie), doktor Siemieńska (przez pewien czas przewodnicząca związku zawodowego w Instytucie), młodzi radykalni partyjni: Jacek Raciborski i Jerzy Szczupaczyński. Niektórzy, jak Jan Malanowski czy Władysław Markiewicz, byli nawet członkami KC. Gdy kształtowała się opozycja, bardzo wiele osób było zaangażowanych politycznie – po drugiej stronie, czasami mało refleksyjnie, czasami wręcz dogmatycznie i fanatycznie. A po 1989 roku – też prawie wszyscy angażowali się politycznie. Niektórzy byli posłami, kandydatami na posłów, doradcami politycznymi, inni prowadzili upolitycznione instytuty. Musieliby więc panowie wymienić jakichś socjologów i ja bym się wtedy zastanowił, czym się moje zaangażowanie różni od ich zaangażowania. Poza tym, że ich zaangażowanie jest akceptowane przez większość środowiska socjologicznego – bo zgodne z jego upodobaniami – a moje nie. To środowisko jest i było konformistyczne.

Jakub Motrenko: *To ja zadam to pytanie inaczej – bardziej teoretycznie. Czy ideał nauki wolnej od wartościowań, tak jak formułował to Weber, jest jeszcze użyteczny, czy w ogóle możemy mówić o takiej nauce?*

ZK: U Webera było to rozróżnienie między sądem wartościującym a odniesieniem do wartości. On z jednej strony głosił, że nie należy formułować sądów wartościujących, a z drugiej – był świadomy, że już przy wyborze tematów patrzymy na rzeczywistość z pewnej perspektywy. Otóż ja z Webera, który, jak wiadomo, sam miał bardzo mocne i bardzo skrajne poglądy polityczne, wyciągam dwa wnioski. Po pierwsze, nie indoktrynuję studentów. Kiedy mam zajęcia z teorii socjologicznych czy filozofii polityki, nie dzielę ich na lewicowe i prawicowe. Mogę analizować i Badiou, i Straussa. Podobnie, gdy zajmuję się innymi tematami. Uważam, że uczciwość polega na trafnym zrekonstruowaniu czyjegoś stanowiska, własną ocenę zostawiając co najwyżej na koniec. Po drugie, przyjmuję jednak, że zawsze istnieje odniesienie do wartości, nawet w bardzo abstrakcyjnych teoriach, w rodzaju teorii Luhmanna, nie mówiąc już o Habermasie, i należy je ujawnić. To, co robiłem naukowo, także ma i zawsze miało mocne odniesienie do wartości. Wszystkie rzeczy, które pisałem, były pisane po coś i w polemice z kimś. Pierwsza książka, *Rozumienie ludzkiego zachowania* (1986), jest krytyką marksizmu i pozytywizmu, a obroną tradycji i wskazaniem na organiczenie refleksji i rozumu. To jest walcząca książka. Kolejna, *Upadek idei postępu* (1991), wynika z zaszarych dyskusji z moimi ówczesnymi niemieckimi przyjaciółmi, Klausem Nellenem i Cornelią Klinger, i ich wizją Oświecenia, i biegu historii. *Demokracja peryferii* (2003) jest obrachunkiem z pokoleniem własnym, solidarnościowym, z naszymi liderami i ich zdradą wartości Solidarności po 1989 roku. Gdy prowadzę wykład o Europie w Breme czy Krakowie, zawsze mówię studentom, że jestem może nie skrajnym, ale eurosceptykiem. Nie ukrywam swojego stanowiska. Co więcej, uważam, że to byłoby nieuczciwe, gdybym tego jakoś nie zaznaczył. John Goldthrope, którego spotkałem kiedyś w Oksfordzie, powiedział mi, że całe życie zajmuje się problemem, jak pozycja społeczna ojca wpływa na pozycję syna. „To wiem na pewno, tu potrafię formułować ściśle wnioski”. O wszystkim innym milczał, bo socjologia w jego przekonaniu ograniczała się do dających się jasno i ściśle stwierdzić zależności. Dla mnie socjologia jest po prostu czymś innym – o znacznie szerszym zakresie i znacznie mniejszej ścisłości. Dążenie do ścisłości często oznacza rezygnację z myślenia, z prób odpowiedzi na ważne pytania. Jeśli nawet Goldthrope coś wyliczy po trzydziestu latach, to rzeczywistość zawsze może nas zaskoczyć. Dla polskiej socjologii takim zaskoczeniem była Solidarność. Nagle się okazało, że lepiej niż uczeni rzeczywistość wyczuwali ci, którzy pisali jakieś polityczne eseje albo jeździli do robotników w Radomiu i Ursusie. (To, co pisał ówczesny Michnik, okazało się ważniejsze niż to, co wówczas wyliczał np. dr Słomczyński). A przecież o to nam

chodzi w nauce, prawda? O to, czy my jesteśmy w stanie uchwycić sensy widzialnej rzeczywistości i jej dynamikę. Metody są wtórne, tzw. naukowość, która w Polsce oznacza również często ucieczkę od rzeczywistości.

MŁ: *Wspomniał Pan o odniesieniu do wartości – jak zmieniło się u Pana?*

ZK: Myślę, że pozostało trwale, mimo że ulegało pewnej ewolucji. Stały był u mnie wątek krytyki oświeceniowego, utopijnego myślenia liberalno-lewicowego – emancypacji i idei postępu, rozumu wyzwolonego z kontekstu tradycji, polityki bez konfliktów i relacji władzy, itd. Zmieniał się tylko sposób artykulacji tej krytyki. W jakimś sensie to odniesienie do wartości miało sens polityczny, choć z początku o wiele bardziej interesowały mnie idee i teorie niż realność i działanie. Jeśli są jakieś momenty w moim życiu, kiedy postanowiłem się zaangażować politycznie bardziej niż piórem, to jest to okres stanu wojennego i okres po 10 kwietnia 2010 roku. Zawsze jednak uważałem politykę za ważny wymiar ludzkiego życia: istniałem politycznie, zanim zacząłem pisać eseje polityczne. Ale w latach 60. czy nawet jeszcze wczesnych 70. polityka dla ludzi, którzy nie mieszkali na Przyjaciół albo na Żoliborzu, była czymś zupełnie abstrakcyjnym, bo rozgrywała się gdzieś daleko, w zamkniętych rewirach. No, gdzieś były oczywiście komunistyczne rytuały polityczne, święta państwowe, propaganda, ale prawdziwa polityka działa się daleko. Do mnie, do moich rodziców w Morażu, nie przychodził Gomułka na śniadanie, nawet Staszewski czy Zambrowski do nas nie zaglądali. W PRL-u polityki w sensie ścisłym, zakładającym deliberacje i wspólne działanie obywateli, w zasadzie, poza wąskimi, potem rozszerzającymi się kręgami, nie było. Zresztą gdy byłem młodym człowiekiem, bardziej interesowały mnie książki niż ludzie. Najbardziej dogłębne przeżycie to lektura *Idei Husserla*... Przez trzy dni byłem tym Husserlem zafascynowany, tym światem, tym, że tak można w ogóle jakoś to widzieć, ta redukcja transcendentalna, noeza, noemat. To było takie wszystko fascynujące, nowe spojrzenie na świat. I to mnie strasznie pociągało. Oczywiście, nie wszystko rozumiałem, ale to, co rozumiałem, wystarczyło mi na długi czas.

JM: *Na doktorat.*

ZK: Na całe życie. Pierwszą książką filozoficzną, którą przeczytałem, były *Perspektywy człowieka* Rogera Garaudy'ego, francuskiego marksisty. Z drugiej strony, do marksizmu byłem uprzedzony, odkąd we wczesnej podstawówce przeczytałem broszurę Lenina *Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu*, a potem w liceum Hegla. Po *Fenomenologii ducha* jakiś fragment Marksa, na który trafiłem, był dla mnie właśnie: upadkiem ducha. Dopiero

jak znalazłem się na Karowej, to spotkałem ludzi, którzy byli marksistami z tytułami naukowymi, więc...

MŁ: *Ukąszenie marksofskie?*

ZK: No, leciutkie.

MŁ: *Musimy to podkreślić: Krasnodębski ukąszony przez Marksa!*

ZK: No nie, nie... Ale marksizm był na Wydziale Filozofii i Socjologii wszechobecny, czasami na niezłym poziomie akademickim, nie zawsze dogmatyczny. Miałem wówczas bliskiego kolegę, Wojciecha Ciechorskiego, który kiedyś zaciągnął mnie nawet na otwarte zebranie PZPR-u w Instytucie Socjologii, prowadzone przez profesora Szackiego, a pogadankę miał Marek Siemek... A on potrafił uwodzić. Chodziłem na jego seminaria, w tym jedno o „Kapitale”. Potrafił o tym zajmująco mówić. Więc może różnie się mogło potoczyć. Jeśli chodzi o wybory polityczne, to przecież dopiero wówczas pojawiły się nowe idee, wszystko dopiero się stawało i kształtowało. Ja tylko przypomnę, że Paweł Śpiewak napisał pracę magisterską o Gramscim, a Tadeusz Szawiel o Lukacsu. To byli trochę starsi koledzy, którzy szukali jakichś dróg, nowych idei w młodym Marksie i „nieortodoksyjnym” marksizmie. Nie było wcale łatwo się wyzwolić z tego sposobu myślenia, ponieważ on był wszędzie obecny – w zalecanych lekturach, w treści wykładów. Nie dziwi mnie dzisiejsza lewicowość, a nawet lewackość Karowej – to genius loci. Dzisiejsze ideologie i marksizm mają wiele ze sobą wspólnego. To, czego nas uczono – wielkie struktury, teoria państwa, klasy społeczne – było nim przepojone. Byłem jakoś na to immunizowany wcześniejszymi zainteresowaniami, ale też lekkim autyzmem. Z drugiej strony, nie bardzo mi odpowiadał tak zwany pozytywizm czy wąsko rozumiany „empiryzm”, który był większym wyzwaniem, bo ci ludzie, którzy go uprawiali, trochę kontestowali system i mieli stempel przyzwoitości. Na dalszym planie istniało jeszcze odniesienie do Znanieckiego; Edmund Mokrzycki napisał książkę o socjologii rozumiejącej, która jednak mnie nie porwała, choć była pewną inspiracją. Wybrałem inną, własną drogę: fenomenologię i hermeneutykę. Wokół Krzysztofa Michalskiego, młodego adiunkta, który właśnie napisał książkę o Heideggerze, utworzyła się nasza grupa. Jeździliśmy razem m.in. do Dubrownika. To między innymi z tych spotkań i warszawskiego seminarium zrodził się później Instytut Nauk o Człowieku w Wiedniu. Wspierali nas „starsi panowie”: Henryk Krzeczowski, Michał Brystygier, Jacek Woźniakowski, Paweł Hertz. A także Józef Tischner – pokoleniowo gdzieś pośrodku. Całe to środowisko nie miało charakteru politycznego, ale postrzegало

się jako konserwatywne, a nie lewicowe. Podobno Michalski przekonywał Kuronia, że oni robią politykę, a my się zajmujemy nauką, co miało być także nie bez znaczenia. W naszym przekonaniu – być może to było pewne alibi – nauka stanowiła działalność publiczną. Chcieliśmy robić inną socjologię i inną filozofię, lepszą „zachodnią”, „prawdziwą”. Dla nas, dla tych młodych ludzi przed doktoratami, niezwykle atrakcyjne było hasło Husserla „do rzeczy samych”. I dlatego Goffman, dlatego Schutz, dlatego Gadamer byli bliżej rzeczywistości, bliżej życia codziennego. Życie jest inne niż teorie! Fenomenologia była obietnicą zbliżenia się do tego, co „naoczne”, wbrew ideologicznym konstruktom. Ważne dla mnie były także współpraca i przyjaźń z Richardem Grathoffem, studia i Bernhard Waldenfels. Do tego dochodziła jeszcze teoria krytyczna, „szkoła frankfurcka”. Zrobiłem pierwsze tłumaczenie Habermasa, to było pierwsze tłumaczenie Habermasa w bloku wschodnim w ogóle.

MŁ: *I pierwsze spotkanie Habermasa z Michnikiem – w bloku wschodnim.*

ZK: I pierwsze spotkanie... Jesienią 1978 roku.

MŁ: *Nie żałuje Pan? [śmiech]*

ZK: Nie, nie, ależ skąd, nie. [śmiech] Habermasa poznałem w Dubrowniku. W pewnym sensie oddziałalem na jego biografię, gdyż dla niego ten pobyt w Warszawie był niezwykle ważny. Potem w rozmowach często do niego wracał. Chciał się dowiedzieć, jak to jest w realnym socjalizmie. No i zobaczył formującą się opozycję, a jednocześnie spotykał się z ludźmi partii, którzy też byli dla niego niezwykle przyjemni i otwarci – nasi partyjni „liberalowie”. Opowiadali mu różne anegdoty, ale gdy na spotkaniu w domu doktor Jasińskiej odważył się zapytać o KOR, „wie pan, już nie było tak przyjemnie”. Mnie też fascynowała powstająca opozycja: Studenckie Komitety Solidarności, KOR, którego pierwsze komunikaty na nasze wspólne seminarium o Wittgensteinie przynosił dr Chwedeńczuk. Zaczynam to obserwować, to mnie interesuje, znam niektórych tych ludzi. Ale zostaję przy swoich zainteresowaniach teoretycznych. I dopiero potem wybucha pierwsza Solidarność. To był wybuch. To było takie uczucie, że można było wszystko powiedzieć. Nastroje szybko się radykalizowały. Przez ostatni okres tuż przed stanem wojennym także w Instytucie trwał strajk okupacyjny. Nocowaliśmy na Karowej. Przedtem powstała instytutowa „Solidarność”. Najpierw założyliśmy tak zwany „dziewięcioletnic” (Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty), który następnie stał się częścią „Solidarności”. Do naszego koła wstąpili także Jasińska, Siemieńska i Wojciech

Modzelewski, który nawet został przewodniczącym. Byłem delegatem Instytutu do „Solidarności” uniwersyteckiej. Spędzaliśmy tam jakiś absurdalnie długi czas nad pracą nad statutem naszej organizacji. Te prace zostały przerwane przez wprowadzenie stanu wojennego, który zmienił wszystko. Jednocześnie zajmowałem się rzeczami, które pozwalały zachować równowagę psychiczną – teorią socjologiczną i filozofią. Czytaliśmy Heideggera itp. Tuż przed stanem wojennym stworzyliśmy Polskie Towarzystwo Fenomenologiczne, które tylko raz się spotkało. Przewodniczącym został ks. Józef Tischner. Założyliśmy także przy Instytucie Filozofii zespół zajmujący się szeroko rozumianą antropologią filozoficzną.

MŁ: *Czyli dystans i zaangażowanie?*

ZK: Piszę w tym czasie doktorat – *Rozumienie ludzkiego zachowania*. Angażuję się w działalność podziemną, niezapisaną, choć dosyć istotną w historii Instytutu Socjologii...

JM: *To proszę teraz powiedzieć, my zapiszemy.*

ZK: Normalne, ówczesne sprawy. Działa podziemna Solidarność, roznosimy ulotki, organizujemy pozauniwersyteckie spotkania dyskusyjne, także z zagranicznymi gośćmi, jak Ernest Gellner... Organizujemy strajk w 1982, który mało nie prowadzi do rozwiązania Instytutu Socjologii. To bardzo ciekawy epizod. Mniej więcej pięć osób jest przy organizacji tego strajku, a mimo to potem wszyscy wiedzą, kto go zorganizował, ale to inna sprawa. W tym czasie też trochę pomagam „Krytyce” Jana Kofmana, i to on proponuje, żebyśmy wydali Webera. Ukazuje się dopiero w 1987 roku, jak mi mówiono po paru wypadkach. Współpracuję także z Jagiellonian Trust, brytyjską organizacją wspomagającą opozycję konserwatywną, założoną między innymi przez Rogera Scrutona, Dennisa O’Keeffe, Timothy’ego Gartona Asha (który wówczas uchodził za konserwatystę) i Agnieszkę Kołakowską. W Krakowie głównym kontaktem Jagiellonian Trust jest wtedy Ryszard Legutko.

MŁ: *Właśnie znalazłem w Zakładzie Socjologii Ogólnej drugoobiegowe wydanie Pism Webera, które należało do Pawła Kuczyńskiego. Obiecałem mu, że zdobędę Pana autograf. [śmiech]*

ZK: To chyba jedyne „podziemne” wydanie Webera na świecie. Trochę wynik seminarium, na którym czytaliśmy, z mozołem, pisma polityczne Webera. Wstęp do tego podziemnego wydania to najbardziej „polityczny” tekst, jaki wówczas, poza drobnymi anonimowymi, napisałem. No i jeszcze krytyczny artykuł o poglądach politycznych Habermasa, który

ukazał się w „Krytyce”, ale z wielkim opóźnieniem, dopiero po 1989 roku. Razem z Mirosławą Grabowską przeprowadziliśmy też – anonimowo – wywiad z ukrywającym się wtedy Janem Lityńskim dla „Spiegła”.

JM: *A lata 1989 i 1990 – jak to u Pana przebiegało?*

ZK: W 1985 roku po interwencji austriackiej wysokiego szczebla, dzięki staraniom Krzysztofa Michalskiego, dostałem paszport i wyjechałem do Instytutu Nauk o Człowieku, który Krzysztof wraz z Tischnerem założyli dzięki wsparciu Jana Pawła II tuż przed stanem wojennym, potem – po odejściu z Instytutu – przebywałem w Niemczech w Bielefeld. Ponieważ nie chciałem emigrować, w 1987 powróciłem do Polski. Znowu coś się działo, nie byłem już jednak w tych różnych strukturach, związkach, sieciach i kontaktach. System zaczynał się powoli kruszyć i wtedy podjąłem świadomą decyzję, czym się zajmuję: czy piszę swoją habilitację, czy uczestniczę w polityce. I decyduję się na habilitację. Piszę wtedy *Upadek idei postępu*.

MŁ: *Wybór był właśnie taki: bić się czy pisać?*

ZK: Nie do końca. Byłem szeregowym. Jak trzeba było, to roznosiłem ulotki itd., ale nie uważałem, że to jest moje powołanie. Miałem wtedy takie przekonanie – bardzo naiwne – że rzeczy idą w Polsce w dobrym kierunku, więc znowu mogę się zająć tym, co mnie naprawdę interesuje. W 1990 roku wyjechałem na rok do Niemiec i zostałem dwadzieścia lat... W Bremie, gdzie powołano mnie w 1995 na stałą profesurę, musiałem się zajmować naukowo czymś innym. Musiałem studentom opowiadać np. o polskim romantyzmie. Najpierw robiłem to tylko z obowiązku. Nie mogłem zająć się filozofią niemiecką tak intensywnie, jak bym chciał, tylko zajmowałem się w dużej mierze Polską, ale to mnie wciągnęło. Z tego powstała potem *Demokracja peryferii*. A także z tego, że za namową Jarosława Gowina, który został redaktorem naczelnym miesięcznika „Znak”, i pewnie z rekomendacji Tischnera, który mnie w Bremie odwiedził, trochę niechętnie zacząłem pisać teksty publicystyczne, najpierw bardziej filozofujące eseje.

MŁ: *A później coraz bardziej antydemokratyczne. [śmiech]*

ZK: A potem coraz bardziej „antydemokratyczne”, jak *O czym można dyskutować w demokracji* (2000), który wywołał wiele polemik. Coraz bardziej jestem niezadowolony z roli dawnych przywódców opozycji. „Gazeta Wyborcza” twierdziła, że w Polsce zwyciężyła liberalna demokracja, że to tak musi działać jak w Polsce lat 90., więc zastanawiam się, jakie są inne

modele demokracji i czy nie ma innej drogi? Myślę też, że każdy powinien zadać sobie to zasadnicze pytanie (sformułowane kiedyś trafnie przez Andrzeja Zybortowicza): na ile socjologia i politologia akademicka są w stanie rozpoznać rzeczywistość, dotrzeć do rzeczywistości, zwłaszcza tak skomplikowanej jak polska? Otóż uważam, że niestety bardzo często nie. Na przykład ludzie, którzy się zajmują partiami politycznymi, nie wiedzą w gruncie rzeczy, jak partie polityczne w Polsce działają. Powtarzają często obieguowe opinie, nawet jeśli wspierają je cyferkami. Może przydałoby się więcej etnografii, więcej naoczności?

MŁ: *Ale co z książkami? To dla mnie tak naprawdę główne pytanie. I zacytuje pewnego socjologa: „wielu moich kolegów uprawia publicystykę, a później wydaje składowki. Mało kto pisze książki systematycznie, a tego, że ktoś chce napisać wielkie dzieło, w ogóle już nie ma – i to się bardzo odbija na poziomie polskiej nauki”.*

ZK: Tak, tak. No właśnie, niestety.

JM: *Ten sam socjolog narzeka na brak przykładów, na brak pracy na klasykach, na brak etosu pracy...*

ZK: To prawda. Dopadł mnie los, którego chciałem uniknąć. Tak jak zawsze... Ja nawet lubiłem niektórych kolegów-socjologów, cenilem ich za inteligencję, lecz zawsze pozostawali dla mnie negatywnym punktem odniesienia, bo byli zbyt publicyści, a zbyt mało teoretyczni. Mówiłem sobie: „obyś tak nigdy nie skończył” – niestety, tak się nie stało. Za dużo jeżdżę, za dużo rozmawiam i za dużo piszę publicystyki. Zamiast siedzieć w domu i kończyć książki. Ale proszę jednak pamiętać, że większość mojego czasu to jednak praca na uniwersytecie, a nawet dwóch.

MŁ: *Antoni Sulek powiedział kiedyś, że każdy system należy oceniać nie tylko z punktu widzenia książek, jakie zostały napisane, ale też z punktu widzenia książek, które nie powstały. Czy nie lepiej po prostu napisać jedną ważną książkę, niż nie napisać?*

ZK: Lepiej, choć nie jest łatwo napisać ważną książkę i nie bardzo wiadomo, co kiedyś okaże się ważne i dla kogo. To, że nie powstają wielkie systematyczne dzieła teoretyczne, to też ogólna słabość naszej kultury. Być może wielkie systematyczne dzieła teoretyczne nie są dla Polaków ważne? Niemcy mają wielką tradycję od Kanta do Habermasa – oni przez dwa stulecia siedzą i piszą. A w Polsce nigdy nie było warunków. W XIX wieku nasi filozofowie byli biedni, byli amatorami tulającymi się po świecie. Nie mieli katedr, bo długo nie było polskich uniwersytetów. Nie było stabilizacji, która umożliwiałaby im pracę. W XX wieku też tak zazwyczaj bywało.



Najczęściej wszystko kończyło się eseistyką, nawet u Kolakowskiego. Ingarden jest tu wyjątkiem. W zasadzie nikt z mojego pokolenia nie napisał wielkiego dzieła. Nawet Krzysztof Michalski. (Jego ostatnia książka jest dosyć słaba, taka liryka; jeszcze raz z sentymentalnych względów muszę się do tego wziąć, ale nie byłem w stanie tego zmóc). Ja też, mając pewną stabilność zawodową dzięki pracy w Breme, nie napisałem. Pewnie toby się inaczej potoczyło, gdybym został w Katedrze Filozofii i Teorii Socjologicznej w Kassel, gdzie wykladałem przez rok, czy dostał Katedrę Socjologii Ogólnej w Warszawie. Chętnie bym się takiego zadania podjął. Ale to się nigdy nie stało. Polska rzeczywistość na pewno nie sprzyjała pracy nad „ważną książką” w sensie dużego systematycznego dzieła. Kiedy wybuchł stan wojenny, pamiętam dokładnie tę myśl: to, co chcemy robić, co ja chcę robić, jest kompletnie absurdalne. W Polsce nie można po prostu zajmować się nauką. Nie można czytać i pisać książek, bo ciągle nadchodzą czasy, w których trzeba drukować, roznosić ulotki i czasami nawet strzelać. To, co ja robiłem, czym się interesowałem, było z tego punktu widzenia kompletnie absurdalne. Nacisk rzeczywistości był zbyt silny. W pokoleniu Panów powinno być nieporównywanie lepiej, a „ważne” książki można na palcach jednej ręki policzyć.

MŁ: *Kiedy patrzę na Pana publicystykę, to wydaje mi się, że są takie dwa ważne teksty, jakoś definiujące. Pierwszy to jest System Rywina (2003), a drugi – Już nie przeszkadza (2010). Ten pierwszy jest jeszcze teoretyczny. Tam odwołuje się Pan do analizy konwersacyjnej, etnometodologii, teorii modernizacji, jest tam język socjologiczny. A w drugim tekście język staje się językiem emocji, polemiki, ale nie chłodnego oglądu. Czy to nie jest strata dla publicystyki – że gdy wchodzimy w rolę publicystów, nie widać już, czy jesteśmy socjologami, czy nie.*

ZK: Ja nie oddzielam socjologii od moich zainteresowań filozoficznych i nie oddzielałbym jej także od publicystyki. To jest rozpoznawanie rzeczywistości innymi środkami. Moja publicystyka wyrasta z jakiegoś wglądu w rzeczywistość. Mówiąc fenomenologicznie: ja widzę część rzeczywistości, której bym nie widział, gdybym chodził tylko na Karową na seminarium. Gdybym nie mieszkał w Niemczech, skąd pewne rzeczy widać wyraźniej, gdybym nie przejechał Polski wzdłuż i wszerz, jak robię od paru lat. Uprawiam działalność publicystyczną, która od pewnego czasu nie jest już tylko działalnością publicystyczną – staje się w pewnym sensie działalnością polityczną. Tekst *Już nie przeszkadza* jest najbardziej emocjonalnym tekstem, jaki napisałem. Drugi raz bym go nie napisał, gdyż tamtych odczuć nie mógłbym w sobie sztucznie wywołać. Napisałem go świadomie w pewnej sytuacji, która była skrajna, graniczna. I uważam

go za jeden z najważniejszych swoich tekstów. I wiem, że dla niektórych ludzi też był „ważny”. Czasami coś mnie porusza emocjonalnie, piszę emocjonalne teksty... Ale są inne teksty, w których nadal stosuję socjologię, już nie mówiąc o tym, że ciągle piszę książki, tylko jeszcze się nie ukazały.

MŁ: *Jeśli wierzyć klasykowi, każdy, również Pan, wchodząc w politykę, „žadaje się z diabelskimi mocami, które kryją się za każdą przemocą”. „Jeśli ktoś szuka zbawienia duszy i ratunku dla innych dusz, nie robi tego na drodze polityki, która ma inne zadania” (Weber 1987: 36).*

ZK: Pewnie klasyk ma rację (choć można tej racji przeciwstawić inne, sformułowane także przez już klasyków, jak np. Hannah Arendt), ale ja w tym sensie oczywiście nie jestem w politykę zaangażowany. Tak jest być może w sytuacjach, gdy podejmuje się decyzje rzeczywiście polityczne, personalne czy dotyczące przyszłości kraju itd. Ja takich decyzji nie podejmuję. Weber pisze, że diabelskość polityki związana jest z władzą, ja na szczęście żadnej władzy nie posiadam. Nie jestem też członkiem żadnej organizacji politycznej. Członkowie ugrupowania politycznego muszą, tak przypuszczam, mówić rzeczy, których nie chcą mówić. Ja nigdy nie piszę czegoś, czego nie chciałbym napisać. I na pewno nie szukam w polityce „zbawienia dusz”.

MŁ: *Ale czy te „diabelskie moce” nie przenikają nawet tekstów? Czy kiedy w Już nie przeszkadza pisać Pan, że „nie będzie drugiej grubej kreski”, nie otwiera Pan drogi przemocy, nad którą nie zapanujemy?*

ZK: Nie. To jest kwestia dorobionej gęby. Mój wybór polityczny jest postrzegany jako wybór po stronie złej, agresywnej, zacofanej, nacjonalistycznej, faszyzującej. Ale ja mam poczucie, że znalazłem się po dobrej stronie, wśród ludzi, z którymi chcę być, których szanuję za ich postawę, za odwagę i za niezależność. I bardzo bym źle się czuł, i miałbym kłopoty spojrzeć w lustro, gdybym – jak niektórzy moi dawni koledzy – znalazł się nagle w pobliżu ludzi pokroju tych, którzy przewodzą Platformie. Uważam również, że pierwsza „gruba kreska” zaszkodziła Polsce. Gruba kreska to brak sprawiedliwości, a sprzeciw wobec niesprawiedliwości nie jest przemocą. Odrzucenie „grubej kreski” teraz to też nie wezwanie do samosądu, lecz do wymierzenia sprawiedliwości – zgodnie z prawem. Sądzę także, że po Smoleńsku przyzwoity człowiek nie może popierać obecnej władzy – niezależnie od bezpośrednich przyczyn tej tragedii.

MŁ: *I teraz te dwie grupy – grupa, którą reprezentuje Pan, i Pana polityczni przeciwnicy – toczą walkę na śmierć i życie. Weber wieścił, że gdy angażujemy się w taką*

*walke, czeka nas „polarna noc, lodowato ciemna i surowa” (Weber 1987: 38); i nie wiadomo, czy nastanie jakiś nowy poranek.*

ZK: Po pierwsze czekał na poranek, tak, czekał jednak! Po drugie, źle interpretuje Pan jego słowa. Ta ciemna polarna noc to sytuacja klęski po I wojnie światowej i upadku wartości, a nie ich zasadniczego konfliktu czy walki, które według Webera należą do istoty polityki. Po trzecie – my nie tocymy w Polsce walki na śmierć i życie, nie przesadzajmy. Toczymy ostry spór o Polskę w ramach demokratycznych – choć źle działających – instytucji.

A przed słowami Webera, które Pan zacytował znajdują się inne: „jest rzeczą ogromnie wstrząsającą, jeśli człowiek dojrzały – wszystko jedno, czy stary, czy młody wiekiem – który odpowiedzialność za skutki odczuwa realnie i całą duszą i działa według etyki odpowiedzialności, powie w którymś momencie «Przy tym stoję i nie mogę inaczej». (...) Każdy z nas, kto nie jest wewnętrznie martwy, kiedyś będzie mógł zapewne poznać ten stan”.

Otóż ja nie byłem i nie jestem wewnętrznie martwy. Ani wtedy, gdy pisałem o fenomenologii i Weberze, ani teraz.

#### Bibliografia:

/// Krasnodębski Z. 2005. *Potrzebujemy poczucia własnej wartości, żeby polska kultura zaistniała w świecie. Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim rozmawia Jan Filip Stanilko*, „Pressje” 2005, nr 5, s. 114–130.

/// Weber M. 1987. *Polityka jako zawód i powołanie*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył M. Dębski [Zdzisław Krasnodębski], Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa.